

Raj samoobsługowy

Maciej Głowacki

Nie tak to sobie wyobrażałem.

Po pierwsze, to nawet nie spodziewałem się, że trafię do rajów. Nie to, że jestem jakimś złym człowiekiem, ale takim bardziej przeciętnym. Pewnie takim jak ty, ewentualnie ten sąsiad, którego z niczego nie kojarzysz.

A mimo to trafiłem do rajów; wraz ze mną zginął mój kolega, Artur, który kierował samochodem. Jak się zresztą okazało, Artek był pijany. Natomiast albo nikogo (poza nami) nie zabił, albo ci, w których wjechał, byli tak złymi ludźmi, że nie załapali się do rajów.

– Pusto – skwitował Artur, mijając bramy, a raczej bramki życia pozagrobowego.

Lotnisko przypominało kiepską, niskobudżetową lokację złożoną z darmowych assetów w programie graficznym. Większość drzwi była zamknięta albo prowadziła do pomieszczeń o nieodgadnionych przeznaczeniach.

Nikt nas nie przywitał. Właściwie to nawet poza terenem lotniska nie było nikogo. Przy samym wyjściu znaleźliśmy jedynie broszurę reklamującą w bardzo ogólnych i nijakich słowach miejsce, do którego dotarliśmy.

– Może się źle lokacja załadowała? – zasugerowałem Arturowi, spoglądając na nieskończony ocean, który rozciągał się za lotniskiem.

– Albo trafiliśmy do jakiegoś nieudanego pliku typu: asdf1234 ostatniawersja (111) terazjużserioostatnia.exe – zaśmiał się Artur i spostrzegł, że nadal trzyma dłonie zaciśnięte jak na kierownicy, choć samej kierownicy już nie było.

– No, ale chevroleta to szkoda. Chciałbym go tu mieć.

Tak też się stało.

Chevrolet cruze z 2008, w kolorze zgniłej mandarynki, pojawił się nagle przed lotniskiem, tylną osią zahaczając o krawędź wszechświata. Stał tak w całej swej wieśniackiej okazałości z licznymi, żenującymi naklejkami kultury Internetu, tak jak to sobie wiele lat temu wymarzył mój kolega.

I wiedział Artur, że było to dobre.

– Ale zajebiste – wyszeptał Artur, zbliżając się do samochodu. Ze strachem dotknął maski i skonstatował, że jest prawdziwa. – Ma nawet te same naklejki.

– Mogłeś sobie zażyczyć, by chociaż był zatankowany... Czekaj no moment.

Dopiero wtedy dotarło do mnie w pełni, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy.

– Artek, jesteśmy w raj! – Zbliżyłem się do towarzysza i poklepałem go po plecach. – Ty pijaku pieprzony, zabiłeś nas! Jesteśmy w raj, rozumiesz? W raj, co sobie wymarzysz, to się dzieje!

Artur patrzył jeszcze przez moment na samochód, aż w końcu w ciszy wsiadł do środka i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wgapił się intensywnie w deskę rozdzielczą, wyglądało to jak te rosyjskie programy telewizyjne, gdzie medium rzekomo potrafi wygiąć łyżkę siłą woli.

Nagle wskazówka benzyny przeskoczyła na prawą stronę tarczy.

Cud. Prawdziwy, wysokooktanowy cud.

– A mogę być superinteligentny? – zadał pytanie Artur, choć kierował je raczej do siebie niż do mnie.

Przez moment wyteżał się jeszcze, usiłował coś zrobić i nagle spojrzął na mnie takim dziwnym, nieobecnym wzrokiem.

– Czy jestem już geniuszem?!

– A czujesz się inaczej?

– Chyba nie...

– To na pewno nie jesteś. – Przez moment oglądałem samochód z każdej strony, aż w końcu usiadłem na masce i rzuciłem do mojego zaaferowanego towarzysza: – Chyba... Skoro trafiliśmy do raju w jakimś stanie, to w takim pozostaniemy.

– A jakby ktoś trafił do raju jako warzywo?

Wzdrygnąłem się na samą myśl i wróciłem do stojaka na ulotki. Informacje zawarte na broszurze w niewyjaśniony sposób pozmieniały się, ale nadal nic z nich nie wynikało. Jedynym co było pewne to to, że niczego nie wiedzieliśmy o tym miejscu i nikt nas nie miał zamiaru informować.

– Trochę strasznie tu – przyznałem wreszcie, pochyliłem się nad krańcem chodnika i nabrałem do ręki wody z oceanu. – Pusto.

– Może dlatego to jest raj? – powiedział wreszcie coś mądrego Artur.
– Każdy dostaje taki, jaki chce. Możemy sobie stworzyć tutaj własny raj. No popatrz na to.

Artur wysiłał się przez moment i nagle ocean przeciął długi, drewniany pomost. Nie wyglądał na zbyt zadbany i wydawał się dziwnie znajomy. Chyba nawet wiedziałem, z którego miejsca na Ziemi Artur brał inspirację i po prostu kopiował i wklejał konstrukcję setki razy.

– Ogranicza nas tylko własna wyobraźnia, co?

Nie wiem, jak długo bawiliśmy się naszym nowym światem. Ja szybko zaszyłem się w chatce z werandą, blisko lotniska, gdzie spędzałem większość

czasu, głaszcząc psy. Artur w tym czasie budował miasto, bo w zasadzie tyle widział przez większość życia. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego obaj trafiliśmy do tego samego raju, i w pewnym momencie zasugerowałem, byśmy może podzielili się nieskończonością, ale Artur mi odpowiedział:

– Jeśli będą zasady, to nie będzie to raj!

Więc musieliśmy ze sobą jakoś wytrzymać. Artur tworzył trasy wyścigowe, bary, wieżowce, parkingi, biurowce, aquaparki, a ja w tym czasie zastanawiałem się, w jaki sposób można stworzyć z niczego spokój i ciszę.

Nie zdążyliśmy rozwiązać pierwszych problemów, gdy pojawiły się nowe – na lotnisko dotarli inni ludzie.

Wpierw byliśmy zaskoczeni, a potem zwyczajnie zirytowani. No bo jak to tak? Kolejni lokatorzy dokooptowani na ostatnią chwilę do naszego mieszkania?!

Artur szybko zorientował się, że w oczach nowo przybyłych jest miejscowym, a więc kimś, kto powinien wiedzieć więcej. Szybko zaczął oprowadzać kolejnych denatów po swoim małym królestwie, pouczając ich na temat niedokończonych projektów i wyłuszczając zasady, jakimi się kierował do tej pory.

Ja po prostu przesunąłem swoją chatkę o kolejny niesprecyzowany kawał nieskończoności i stworzyłem następnego psa – tym razem jamnika, ale bez problemów z kręgosłupem.

Nazwałem jamnika Gabriel; Artur w tym samym czasie powiesił na lotnisku swój własny portret, by każdy wchodzący mógł na niego spojrzeć. Niby na żadnym etapie Artur nie mianował się panem tego miejsca, ale ja już widziałem, że woda sodowa zaczyna mu uderzać do głowy.

Nie ma znaczenia, co się działo i ile minęło czasu, bo w naszym lotniskowym raju nikt go nie liczył. Ja tresowałem psa, czytałem książki, na które nigdy nie miałem czasu, i jadłem bezkaloryczne ciastka. Artur oprowadzał kolejnych

mieszkańców po swoim mieście, kwaterował ich i nawet zaczął wymyślać jakieś zasady.

Nim się obejrzałem, Artur miał pod sobą całą armię urzędników, która koordynowała coś w rodzaju wielkiego przedstawienia, gdzie wszyscy odgrywali jakieś przyziemne role. Mieli swoje obowiązki, wyznaczony czas na ich wykonanie i kwestie do nauczenia się na pamięć. Jednak sam Artur wydawał się być coraz bardziej zmęczony i jakby oddalał się od pierwotnego zamierzenia raję.

Gabrielowi zrobiłem drugiego jamnika do towarzystwa – Michała. Tak, wiem, mało oryginalne, ale tak jak mówiłem, ograniczała nas tylko wyobraźnia.

W pewnym momencie miałem dość nieustannego przesuwania swojej chatki na wodzie (oraz całego inwentarza i sadu, który sobie we wcześniejszym czasie wymarzyłem), więc postanowiłem na przekór przejść się do Miasta. Tak, miasto Artura nazywało się Miasto, bo było jedynym miastem, a Artur też nie grzeszył wyobraźnią.

Przed biurem Artura tłoczyła się kolejka petentów, pobierających odpowiednie druczki, pozwalające na widzenie się z nim oraz złożenie dodatkowych podań o różnorakie dobra i włości. Jedną rzeczą to obserwować szaleństwo z boku, a drugą to wejść w jego środek.

Minąłem napuszonych klakierów i pyskate sekretarki, by wreszcie dotrzeć do windy i osobiście pofatygować się do Artura. Jakimś cudem ci ludzie naprawdę uznali, że najlepsze, co mogą zrobić w niebie, to kontynuować swoje ziemskie życia wedle ich niezbyt wyrafinowanych standardów.

W windzie spojrzałem na zegar, odliczający siedmiogodzinny dzień pracy, i pokręciłem głową z niedowierzaniem.

Drzwi otworzyły się przy akompaniamencie dzwoneczka i ukazały mi coś, co mógłbym określić tylko jednym słowem: kicz.

W biurze kręciło się kilkunastu asystentów, pomagających Arturowi rozeznąć się w aktualnej sytuacji. Nie wiem nawet, jak opisać wygląd biura, bo był to po prostu chlew, śmietnik pełen przypadkowych rzeczy kojarzących się z wysokim statusem. Jakies modele samochodów, rzeźby ze złota, żywe tygrysy i inne wymysły rodem z mokrych snów oligarchów w krajach Trzeciego Świata.

A na środku tego całego nieboskiego burdelu siedział on – Artur, bóg, stwórca, alkoholik.

– Widzę, że wzięłeś to wszystko na poważnie – rzuciłem od progu.

Asystenci spojrzeli po sobie, prześcigając się mimiką w tym, kto poczuł się bardziej urażony i zszokowany.

– Najpierw trzeba się uklonić! – podniósł głos jakiś wygolony na łyso facet w skórzanej kurtce.

– Komu? Jemu? – spytałem, wskazując ręką na towarzysza śmierci. – My tu byliśmy jako pierwsi, to nasze miejsce... po równo nasze!

– Ale biuro jest moje – wtrącił wreszcie Artur, mierząc mnie zmęczonym wzrokiem. – Są pewne zasady, których należy przestrzegać.

– No nie rozśmieszaj mnie! Przecież od ustalenia zasad zaczęliśmy, ale ty się nie zgodziłeś. A teraz odstawiasz ten cały cyrk z Miastem i denatami.

– Przysunąłem sobie krzesło i siadłem przed biurkiem prezesa życia i śmierci.

– Przyszedłem przegadać umowę. Twoi ludzie straszą mi jamniki, nie mogę codziennie o poranku odsuwać swojego gospodarstwa... to znaczy mogę, wszyscy mogą, ale nie o to chodzi.

Któryś z asystentów szepnął coś do drugiego, zaraz trzeci podsłuchał i poniósł się dalszy szmer pełen zaniepokojenia i ciekawości. Spojrzałem po zebranych; Artur pozieleniał ze strachu.

– Nie powiedziałaś im?

– Milcz...

– O czym nie powiedział? – odważył się któryś i spytał.

– O niczym! – przerwał Artur.

– Wszystko...

– Nie! – krzyknął i rzucił we mnie książką.

Uchyliłem się przed pociskiem w ostatniej chwili i zastanowiłem: czy chciałbym zostać Lucyferem tego dziwnego raju? Skoro Artur postanowił zostać jego Bogiem... ale sprawy działały się tak szybko, że decyzja przyszła sama.

– WSZYSTKO, CO SOBIE WYMYŚLICIE, STAJE SIĘ PRAWDA!

– Nieprawda!

– A wasz udawany pan i władca odkrył to, wzywając ze złomowanego chevroleta Cruze, którym nas zabił po pijaku!

Zapadła cisza. Była nagła i dojmująca.

Jednak najbardziej zdziwiło mnie to, że po ciszy pojawił się śmiech. Asystenci i petenci chichrali się długo, aż w końcu któryś grzecznie mnie wyprosił. W osłupieniu patrzyłem na Artura, który wydawał się równie skonfundowany co ja.

– Po co go pytacie o zgodę, skoro możecie sami sobie zrobić raj?!

– Idź już lepiej do siebie, człowieku – rzucił do mnie koleś w skórzanej kurtce i po prostu otworzył drzwi windy.

Wracając do siebie, przeszedłem przez Miasto, by popatrzeć na nowe, rajskie życie. Ludzi stojących w korkach, objazdy, awarie drogowe, kolejki i spóźnione autobusy. Wyglądało to tak, jakby wszyscy zdążyli przenieść swoje nawyki z życia ziemskiego do pozagrobowego.

Nie rozumiałem, dlaczego szczytem marzeń Artura było stworzenie zasad, których przecież nienawidził. Nie byłem w stanie pojąć, dlaczego ludzie zachowywali się, jakby nic w ich życiu się nie zmieniło. Miałem nadzieję, że chociaż po śmierci świat będzie inny.

Bo co tak właściwie miał oznaczać raj? Wieczne szczęście, tak? Czyli to było to? Tak sobie wszyscy wyobrażali szczęście? Nikt z nich nawet nie korzystał

z przywilejów, jakie dano mnie i Arturowi, a i sam Artur korzystał z nich tylko po to, by dalej betonować Miasto, w którym leży się zastępy statystów odgrywających zwykłe życie.

Po jakimś nieokreślonym czasie dowiedziałem się, że Artur przegrał wybory na nestora Miasta i musiał odgrywać rolę urzędnika samorządu (cokolwiek to znaczy). Wiązała się z tym utrata licznych przywilejów i z czasem sam zaczął chodzić z petycjami o przydział paliwa albo odmalowanie ścian mieszkania. Wrócił na przysłowiowe pierwsze pole.

Rozsiadłem się na swojej werandzie, nakarmiłem wszystkie psy, których liczba z czasem przerosła moje oczekiwania, i dopiero wtedy dostrzegłem intruzów.

Jacyś obcy ludzie zrywali jabłka z mojego sadu. Tak po prostu, w biały dzień, bez żadnego zastanowienia. Nawet się z tym nie kryli!

– Wynocha! – wydarłem się na głos.

Intruzi w pierwszej chwili obejrzeni się zdziwieni, jakby nie spodziewali się, że w ogóle usłyszą takie słowa w raju. Zaraz jednak spojrzeli po sobie z rozbawieniem i wrócili do zrywania jabłek.

Wyobraziłem sobie nabitą strzelbę i wycelowałem w kierunku intruzów.

– Ostrzegam was!

Nic, jeden z nich pokazał mi środkowy palec.

Wystrzeliłem.

Przez moment wpatrywałem się w dwie stojące pod jabłonią figurki, czekając na to, aż któraś z nich upadnie. Nic, zamiast tego odrzucili w moim kierunku nadgryzione jabłko.

– Tak... tak nie wolno! – krzyknąłem, ale zaraz rozejrzałem się i zrozumiałem w pełni, jaki był problem.

Wolno było. Zwyczajnie wolno im było i tyle.

Wróciłem do sprawdzonej metody i wyobraziłem sobie swoje gospodarstwo w innym miejscu, razem ze mną. Gdzieś na końcu rajskiego oceanu znowu byliśmy tylko ja i moje psy, jak najdalej od zgiełku Miasta.

I wtedy pojawiła się dwójka intruzów, a zaraz za nimi jeszcze kilku. Zrywali jabłka, straszili psy, kopali w bramkę i rwali kwiaty z klombów. Apogeum nastąpiło, gdy któryś z nich zwyczajnie odlał się na moje drzwi.

Gdy ja wyobrażałem sobie mur, oni wyobrażali sobie drabiny. Gdy ja wyobrażałem sobie zasieki z drutów, to oni wyobrażali sobie jednoosobowe helikoptery. W końcu moje rajskie gospodarstwo zmieniło się w regularne pole bitwy, na którym blisko setka osób niejako bawiła się w wieczne szturmowanie mojej dziedziny. W którymś momencie dołączyło do mnie kilka osób, ale nie po to, by mi realnie pomóc, a po to, by pobawić się w obrońców gospodarstwa.

Załamane ręce, spojrzałem w puste niebo i powiedziałem z wyrzutem:

– Rozumiem. Zajęło mi to trochę czasu, ale zrozumiałem... to jest piekło.

Niebo nie rozstąpiło się, nikt nie wyszedł się ze mnie naigrywać, nie było żadnego diabła przebranego w ludzką skórę.

– Brachu, co ty gadasz? – odezwał się do mnie jeden z ludzi bawiących się akurat wtedy w obrońców. – Przecież to jest oczywiste.

– Co jest oczywiste? – spytałem przestraszony. Mniej więcej w tym samym momencie ktoś wjechał ciągnikiem inżynieryjnym w mój dom.

– Dla nas zwyczajnych jest miks... Mieszmasz! – zaśmiał się obcy mi człowiek, rzucając granatem hukowym gdzieś za siebie. – Trochę dobrego, trochę złego. Tyle, ile umiemy sami dla siebie nawzajem zrobić!

Spojrzałem na ogłuszonego granatem intruza. Upadł na ziemię, ale zaraz wstał, trzymając się za głowę i śmiejąc do siebie.

– Gdzie w tym raj?!

– W tych wszystkich rzeczach, które możemy tworzyć! – odpowiedział obrońca, przywołując w dłoniach jabłko.

– A piekło...

– Piekło to ludzie! – zaśmiał się, wciskając mi jabłko w usta.

Dziękuję wszystkim moim patronom!

Jan Lutze	Kamila Ostrowska	Maciej Więckowski
Paul Troffke	Łukasz Kulwicki	Tobi Trojan
Rafał Krzyżanowski	Mikołaj Żelewski	Maria Mróz
Michał Misztal	Julia Osiecka	Mateusz Piórkowski
Kamil Szyłkiewicz	Piotr Abramik	Tobiasz Tomaszewski
Wirginia Jankowska	Iwona Pułanecka	Piotr Niedziałek
Wiktor Ordon	Jan Jaśkowiec	Julia Tomasiak
Marcin Ostoja-Hełczyński	Damian Adamczak	Marcel Szubartowski
Barry Lidders	Maddie11	Klaudia Tuszyńska
Michał Nowak	Anastazja Łomot	Kuba Mokrzycki
Adam Orlicki	Tomasz Ryczaj	Joanna Hereda
Anna Myszkiel	Jan Kubik	Wiktoria Słocińska
Salai	Jan Brzozowiec	Maciej Kośnik
Katarzyna Gabrysz	Przemysław Kwaśnik	Przemysław Szopa
Rafał Rogoziński	Filip Szyjakowski	Jakub Paciorkiewicz
Janek Buszkiewicz	Patryk Bernardelli	Dominik Pukos
Kacper Paczyński	Weronika Sroga	Kacper Kamieniarz
Michał Nowicki	Jakub Witczak	Julian Pawłowicz
Monika Zajączkowska	Albert Pasierowski	Grzegorz Dombrowski
Dawid Furmanek	Zuzanna Żychowicz	Barbara Konopka
Paweł Gągała	Jędrzej Ziółkowski	Weronika Jaśkiewicz
Sebastian Pasterniak	Szymon Walczak	Jakub Pierzak
Maciek Pernal	Wawrzyniec Sokołowski	Jakub Rogala
Kamil Maciasz	Jacor Kracor	Jan Guzik
Jędrzej Wawrzeń	Konrad Pindel	Cyprian Perepeczo
Marzena Sieprawska	Jakub Pietrek	Michał Lipski

Mateusz Wyszyński	Ola Giedroję	Patryk Frączek
Jacek Kloss	Maciej Musiał	Jacek Sproch
Marcin Gepner	Wiktoria Kaczmarczyk	Wojciech Dąbek
Karol Szewczyk	Jan Bąk	Miłosz Dunikowski
Kate Turwon	Katarzyna Marciniak	Krzysztof Negacz
Damian Bociek	Tymoteusz Całka	Julia Podgórska
Ania Jędrowiak	Jakub Ahmed Witczak	Kacper Jaśkiewicz
Ada Benio	Natalia Kowalska	Edmund Kukowski
Filip Siuda	Rafał Gomola	Damian Kurek
Paulina Chodyra	Michał Dzierwa	Michał Orzołek
Dawid Klose	Stroku	Tomasz Kisiel
Dominik Kucharski	Jakub Cisło	Jakub Hukiewicz
Kamil Sobczyk	Zuzanna Obajtek	Paweł Etmański
Mikołaj Stężycki-	Jakub Strugała	Maciej Knap
Wojtasiak	Ola Gościcka Kacza	Mikołaj Roszczyk
Jakub Sawicki	Daniel Styś	Stomolko Connor
Przemek Piotrowski	Emilia Wyciślak	Kazno De
Cezary Kubiński	Tomasz Pasterz	Łukasz Strzyżewski
Karol Kamiński	Bartosz Pachelski	Dorota Dzikowska
Mikołaj Trawiński	Katarzyna Abyszkin	Kamil Adamczak
Anna Dubec	Dominik "Tokar"	Daria Sawicka
Krzysztof Kwiatek	Tokarski	Izabela Kajmowicz
Julia Świerkot	Magdalena "Zir" Łysoń	Marta Niedźwiecka
Mikołaj Matusiak	Anna Kołodziejek	Maciej Chrobok
Klementyna Święcicka	Piotr Żurkowski	Darek Mytych
Kordian Rogalski	Klaudia Dyczyńska	Piotr Walasik
Eryk Kawecki	Konrad Stecko	Janek Kozak
Maria Kabala	Agred	Kacper Oleszak
Oskar Archi Nowogórski	Wojciech Zych	Tymoteusz Tuttas
Sebastian Frączyk	Weronika Matuszczyk	Bartosz Chamera

Tymoteusz Zięciak	Katarzyna Wysocka	Bartosz Gruszczyk
Konrad Kowalczyk	Mateusz Czernicki	Adrian "Tuńczyk" Morski
Michał Raczek	Monika Brzyska	Grzegorz Samson
Piotr Wiśniewski	Magda Pakuła	Krzysztof Szostak
Dawid Owczarz	Robert Wasielewski	Karolina Szykiewicz
Stanisław Lem	Piotr Gramiak	Mateusz Nowacki
Arkadiusz Kostuniak	Aleksandra Stec	Robert Solski
Karol Zaborowski	Paulina Kozak	Lona Wu
Tomek Napierała	Marcin Walkowiak	Maks Joniec
Piotr Ponewczyński	Michał Dolinowski	Michał Mierzyński
Łukasz Biernat	Wiktor Godlewski	Kuba Malicki
Jakub Czarkowski	Leszek Wroński	Tash Lisiecki
Jakub Kloka	Mateusz Kuźniak	Jacek Sproch
Grzegorz Wójcik	Jan Szczepaniak	Julian Pawłowicz